

Miroslaw Osowski

# O tych zapomnianych z Kazachstanu słowo

Z wielkim zainteresowaniem przeczytałem książkę wspomnieniowo-histeryczną, pióra **Anatola Diaczyńskiego** „O tych zapomnianych powiedzcie choć słowo”, wydaną po polsku w 2022 roku, a wcześniej, w 2006 roku, w języku rosyjskim. Anatol Diaczyński jest pisarzem i literatem mieszkającym od 28 lat w Stalowej Woli, ale pochodzącym z Kazachstanu i tam urodzonym. Anatol jest Polakiem, synem zesłańców, którzy zostali wysiedleni z Ukrainy do Kazachstanu pod koniec lat 30-tych. Ofiarą tych przymusowych przesiedleń byli zresztą nie tylko Polacy, ale także inne narody: Niemcy, Ukraińcy a nawet Koreańczycy. Polacy „podpadli” Stalinowi za to, że nie chcieli dobrowolnie przystępować do kołchozów, które władze sowieckie uważały zgodnie z ideologią marksistowsko-leninowską za wyższy stopień gospodarki rolnej. Polacy czy Niemcy nie mieli na to ochoty, bo widzieli u swoich sąsiadów, na czym ta wyższość socjalistyczna wygląda. Na Ukrainie tam, gdzie wprowadzono kołchozy wcześniej, zapanował niesamowity głód, hołodomor, a w ciągu 2 lat zmarło tam 2-3 mln ludzi. Polacy czy inne narody, które nie przystąpiły dobrowolnie do kołchozów, choć też cierpieli w tym czasie niedostatek, to jednak udało im się w większości przeżyć. Dla nich to był jasny sygnał, że na własnym gospodarstwie nawet podczas nieurodzaju jest o wiele lepiej niż w kołchozie. Ale władza radziecka z takimi „uparciuchami” łatwo sobie poradziła. W ciągu kilku dni podstawowymi przesłaniami – ponad 10 tys. Polaków – w bydłych wagonach wywoziła do Kazachstanu i tam zmusiła ich do uprawiania stepowego ugoru. Do tego wcześniej musieli zbudować sobie ziemianki, prymitywne domki z niewypalanej cegły, suszonej na słońcu.

Najpierw jednak należy wyjaśnić, skąd się wzięli Polacy na Ukrainie? To była polska ludność, nie tylko zresztą, która po zawarciu pokoju ryskiego z Sowietami w 1921 roku znalazła się na wschodniej Ukrainie i na mocy tegoż traktatu została zaanektowana przez Sowietów. Terytorium zamieszkałe przez Polaków na obszarze sowieckiej Republiki Ukraińskiej miało nawet na początku status republiki autonomicznej. Często nazywano ją wówczas Marchlewszczyzną od nazwiska polskiego komunisty, który był zwolennikiem utworzenia Republiki Polskiej w ramach Związku sowieckiego i gdy zmarł, tak nazwano ten rejon, liczący około 50 tys. mieszkańców, dla uczczenia jego pamięci. Ta autonomia (1925-1935), jak potem się

okazało, była czczym frazesem. Utworzono ją po to, by Polacy stali się wzorem dla rodaków w Polsce, jak mają urzeczywistnić socjalistyczną ideologię i gospodarkę. Niestety, eksperyment Sowietom się nie udał, bo Polacy na Marchlewszczyźnie nie tylko nie poddali się kolektywizacji, ale byli też przywiązani do swej religii. Dlatego zostali uznani przez władzę radziecką jako krnąbrni i nieprzydatni. Stalin i jego towarzysze z Biura Politycznego postanowili wywieźć ich do Kazachstanu.

Anatol Diaczyński, potomek zesłańców, opisuje ich gehennę i warunki, w jakich przyszło im żyć w Kazachstanie. Byli traktowani nie tylko jako buntownicy, którzy nie chcieli przystąpić do kolektywizacji i nie przyjmowali narzucanej ideologii, ale jako wrogowie państwa sowieckiego. Za byle co, za nieostrożne słowo można było trafić na Sybir albo po prostu być skazanym na rozstrzelanie jak dziadek Anatola, Józef Diaczyński, który był zdunem i rolnikiem, właścicielem gospodarstwa na tejsze Ukrainie. Rodzina zresztą nigdy nie dowiedziała się prawdy o jego śmierci i miejscu pochówku. W późniejszych czasach, już po roku 1956 i po śmierci Stalina, w czasach, które autor nazywa chruszczewowskimi, rodziny na prośbę skierowaną do władz otrzymywały wiadomość o śmierci skazańca i jego rehabilitacji.

O podróży polskich rodzin w bydłych wagonach do Kazachstanu opowiada Anatol Diaczyński w szczegółach dzięki relacjom swojej babci Ewy, która po zabraniu męża i skazaniu go przez miejscowe władze jako wroga ludu, już więcej go nie zobaczyła i musiała potem samotnie wychowywać kilkoro dzieci w wielkim niedostatku i biedzie oraz braku jakiegokolwiek pomocy ze strony sowieckiego państwa. Akt oskarżenia – jak wspomina autor – opierał się na donosie tylko jednej kobiety, żony jednego z zarządców kołchozu, która nie była zadowolona z odpowiedzi Józefa Diaczyńskiego, bo zabrakło w niej pochlebstwa i braku akceptacji dla nowego płaszczka, w którym paradowała na kołchoźnianej uliczce. To wystarczyło, żeby zostać oskarżonym i potem skazanym jako wróg państwa. W sowieckim sądzie nie było adwokatów, a akt oskarżenia, bywało, opierał się tylko na zeznaniu jednego świadka. Sąd składał się z przedstawicieli miejscowej władzy. W tzw. „trojce”, zasiadał też funkcjonariusz NKWD z tamtejszego rejonu. Taki sąd nie kierował się prawem, ale partyjnymi zaleceniami, bo chodziło o to, by ster-

roryzować społeczeństwo i zamknąć wszystkim usta. Zmusić do bania się nawet najmniejszego szczebla władzy i ślepego posłuszeństwa wydanym poleceniom.

Diaczyński opisuje w szczegółach warunki, w jakich mieszkali i żyli zesłańcy. Warto przypomnieć, że w Kazachstanie panuje klimat kontynentalny, którego cechują wysokie temperatury latem a niskie zimą. Pierwsze pobudowane przez zesłańców ziemianki nie posiadały żadnych pieców do ogrzewania, jedynie paleniska z gliny do gotowania skromnych posiłków. Nie było też opału poza bydłym łajnem. W stepie, na który przybyli zesłańcy, nie było też drzew i lasów. Jedynie czym mogli się dogrzewać, były rosnące w stepie burzany, rośliny o suchych i twardych łodygach. Zimą w ziemiance nawet woda zamarzała. Na szczęście Diaczyński przywieźli z Ukrainy pierzynę, pod którą w zimne kazachskie noce spała cała rodzina.

Interesujące jest też, jak dochowała się wśród tamtejszych Polaków, mimo przesładowań, wiara katolicka. W Kazachstanie nie było kościołów ani tradycji katolickiej, a także duchownych, których uwięziono i zesłano na Sybir już wcześniej. Państwo sowieckie deklarowało się jako państwo ateistyczne. I zwalczało wszystkie religie bez różnicy. Wiara katolicka – jak opisuje autor – zachowała się tylko dzięki matkom i babciom, które mimo zakazów władz nadal chrzcili swoje dzieci i wnuki z wody, po kryjomu uczyły zasad wiary, modlitw, pieśni religijnych, a także obchodzenia świąt katolickich. Jakiś czas, już w czasach postalinowskich, za Chruszczowa i Breżniewa, w okresie pewnej odwilży, dojeżdżał do mieszkańców Zielonego Gaju, tak się nazywała wioska, w której żył autor i jego rodzina, jakiś duchowny z Kokczetawy, rejonowego miasteczka, na zakonspirowane w prywatnych domach nabożeństwa i msze, przy okazji chrzcząc i bierzmując, przygotowując do pierwszej komunii oraz nauczając katechizmu. Szybko jednak dowiedzieli się o tym miejscowe władze i księdza usunięto z miasta i skazano na Sybir, gdzie potem w obozie odsiadywał wieloletni wyrok. Polacy byli prześladowani przez Sowietów nie tylko za swoją wiarę, ale i pochodzenie. Władza dobrze pamiętała nie tylko kłękę w bitwie warszawskiej w 1920 roku, ale także buntowniczą naturę Polaków, przekorę oraz poczucie własnej godności, którzy nie dali się skusić, będąc jeszcze na Ukrainie, na obie-